

TO
OSTATNIE

Lato

KAREN SWAN

BUKOWY LAS

Prolog

21 czerwca 1930 roku
Glen Bay, St Kilda

Na trawie siedziały po turecku trzy młode kobiety. Słońce przesuwało się łagodnie po wysokim łuku i kładło za nimi długie cienie. Nieopodal nich na zboczach drzemały owce, od czasu do czasu strzygąc ogonami, by odpędzić muchy. Dziewczyny szukały choćby lichego schronienia przy kamiennych murkach i czekały na trzepotliwy pocałunek wiatru. W najdłuższy dzień lata niebo wstrzymywało oddech. Suchy skwar wisiał nad nimi niczym podwiązana zasłona. Palce kobiet poruszały się zgodnym rytmem, gdy rwały pióra z ptasich trucheł, a biały puch pstrzył łąkę niczym kobierzec stokrotek.

Flora przycisnęła skroń wierzchem dłoni.

– Nie będzie mi tego brakować.

– No pewnie, że nie. Nie będziesz tego nawet pamiętać – skomentowała Effie, obdarzając ją krzywym spojrzeniem. – Będziesz wielką panią w wielkim domu, będziesz miała szminkę i radio i zapomnisz, że kiedyś musiałaś skubać fulmary.

Flora nadęła się dumnie, zachwycona tą perspektywą.

– Musicie mnie odwiedzić. James mówi, że na każdą z was zawsze będzie czekać pokój, dostaniecie też nowe sukienki, będziemy chodzić na przedstawienia, jadać w restauracjach...

Mhairi ściągnęła brwi.

– W prawdziwych restauracjach?

Effie się roześmiała.

– Tak! W najprawdziwszych lokalach, gdzie cię wyręcą i nie będziesz musiała oskubać i przyrządzać ptaka sama.

– Och... To pewnie miło.

– James mówi, że w Glasgow można by wychodzić na miasto codziennie przez miesiąc i ani razu nie zjeść kolacji w tym samym miejscu. – Flora odrzuciła z twarzy długie, ciemne włosy.

– Póki brzuch mam pełny, za bardzo nie dbam, co w nim jest. – Effie wzruszyła ramionami.

Dłonie Mhairi zastygły. Jej nagła bezczynność wybiła pozostałe z rytmu. Podniosły wzrok i zobaczyły, że Mhairi przygryza wargę i stara się powściągnąć łzy.

– Ciii, Mhairi – rzuciła szybko Flora. – Nic ci nie będzie.

– Jak możesz tak mówić? Ze mną jest inaczej niż z wami. Gdy przepłyniemy przez wodę, wy dostaniecie wszystko, o czym w życiu marzyłyście. Ale ja wszystko stracę. I nie da się tego powstrzymać.

– Fala się wzbije i na cichej wodzie, Mhairi – powiedziała Flora. Poglądziła ogniste włosy przyjaciółki i chwyciła ją za rękę. – Musisz po prostu uwierzyć, że twoje szczęście kryje się gdzie indziej.

Mhairi wyrwała jej dłoń.

– Ciągłe to powtarzasz, ale... Proszę mnie o zbyt wiele! – Jej szare oczy gorzały. Rzadko ulegała gniewowi. Z natury była łagodna i serce miała otwarte, lecz ani jedno, ani drugie się jej nie przysłużyło, i tak oto znalazła się w trudnej sytuacji.

– Wiem. Ja też byłabym rozjuszona. Oszalałabym z żalu, gdybym to ja miała to zrobić – zgodziła się z nią Flora z przejęciem. – Ale ty jesteś lepsza niż ja. Jesteś dobra na wskroś. A u mnie dobroci tyle, co kot napłakał.

– Aż taka zła nie jesteś – zaoponowała Effie, przewracając oczami.

– Nie? Tracę cierpliwość, gdy wiatr zmierzwi mi włosy. Przeklinam, gdy w kościele walnę się w kolano. Gdyby nie to... – Ujęła swą piękną twarz w dłonie. – ...już dawno zrzuciliby mnie z urwiska.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Flora powoli uśmiechnęła się szelmowsko.

Mhairi zaśmiała się cicho wbrew sobie.

– Wcale nie – złążała Florę i z czułością trzepnęła ją w kolano. – Masz masę zalet.

– Piękny ze mnie potwór – oświadczyła na przekór Flora. Nie wyglądała na przejętą w najmniejszym stopniu. – A Effie to dzikie blond czupiradło...

– Ej! – oburzyła się Effie. Długie spodnie zakrywały liczne strupki na kolanach i łydkach, powstałe, gdy łąziła po skałach.

– Ty jesteś z nas najlepsza, Mhairi. Niemożliwe, by nie czekała cię nagroda. Już się zbliża – oświadczyła Flora z typową dla siebie determinacją. – Nawet jeśli ty tego nie widzisz. Musisz wierzyć, że to nastąpi.

Mhairi smutno pokręciła głową, nie komentując słów koleżanki. W normalnych okolicznościach pasja Flory przekonałaby je wszystkie, że niebo jest zielone, a morze czarne, ale Mhairi nie pragnęła wyobrazać sobie niepojętej przyszłości, skoro aspirowała jedynie do tego, co już miała. Gdybyż tylko mogły tu zostać... Ale wyznaczono im ścieżki i tego nie dało się już zmienić. Musiały poddać się losowi.

– Z tobą zresztą jest tak samo.

Effie się wzdrygnęła, a oddech uwiązał jej w gardle, gdy baczne spojrzenie Flory spoczęło na niej. Zamknęła oczy. Pragnęła, by okazało się to prawdą, lecz wiedziała, że aby jej życie potoczyło się szczęśliwie, będzie musiała się bardziej postarać, niż tylko wsiąść do łodzi. Jej przyszłość nie ukazywała się nie dlatego, że kryła się w odległym czasie czy odmiennym miejscu, lecz dlatego, że rozciągało się przed nią widmo czegoś niewysłowionego. Nie do pomyślenia. Wisiało nad Effie nieustannie niczym

rozkołysana kosa nad jej głową – czy kopała torf, czy pielila grządkę. Ten cień, który czaił się w jej snach.

– Tam będziesz wolna – zapewniła Flora żarliwie.

Effie przełknęła ślinę i pokiwała głową. Chciałaby w to wierzyć. Przez dłuższą chwilę wszystkie milczały. Nadal zakrawało na niepodobieństwo, że coś strasznego może się im przydarzyć tutaj, na ich ustronnej wyspie, tego lata jednak wszystko się zmieniło.

– Zostało jeszcze tylko kilka tygodni, ale na wszelki wypadek musisz być gotowa – rzekła Flora. – Musisz kopać za przynętą, póki jest odpływ.

– Wiem. – Effie pomału zbierała potrzebne rzeczy. Z rozmysłem robiła przerwy między drobnymi kradzieżami, żeby nikt nie zauważył braku liny czy zardzewiałego noża, który leżał kiedyś na dnie łódki. Potrzebowała jeszcze jednej rzeczy, ale wiedziała, że nie znajdzie jej na wyspie. – Już prawie wszystko gotowe, jeżeli tylko kapitan McGregor mi pomoże.

– Kiedy podnosi kotwicę? – zapytała niespokojnie Mhairi.

Effie zerknęła na zachodzące słońce, by oszacować porę dnia. Słońce znajdowało się poniżej klifów Mullach Bi, do zapadnięcia zmroku zostało nie więcej niż trzy godziny. Ale skoro czekała ją dwugodzinna marszruta na koniec wyspy...

– Już niedługo. Muszę wracać. – Podwinęła nogi, by wstać, lecz Flora chwyciła jej dłoń.

– Zanim pójdziesz.

Siedziały w niewielkim kręgu, otoczone symfonią grzmiącego morza i świergotu strzyżków.

– Wiem, że jest trudno. Wam dwóm jest najtrudniej. Za kilka miesięcy nasze życie na zawsze się zmieni. Wyjedziemy stąd i wszystko będzie inaczej. Wszyściutko. Coś zmieni się na lepsze, coś na gorsze. Ale wiem też, że przyjdzie dzień, kiedy wrócimy pamięcią do tej chwili, gdy siedziałyśmy we trzy na trawie, we włosach miałyśmy pióra, a u stóp martwe ptaki, i coś z tego się uchowa.

– Co? – Mhairi zamrugnęła.

– My. To. – Flora ścisnęła dłonie przyjaciółek. – Zawsze będziemy dziewczętami z St Kildy, niezależnie od tego, gdzie nas los zanieśie. Mama ciągle powtarza, że jeśli trzy osoby o czymś wiedzą, to żaden sekret, ale w naszym przypadku się myli. Tylko my trzy będziemy wiedziały, co robimy. – Przyłożyła palec do ust. – Jesteśmy siostrami, prawda?

Mhairi potaknęła, Effie również. Flora poczuła dziwny ucisk w gardle. Nie ulegała sentymentom, lecz emocje próbowały się przebić przez jej grubą skórę. Wstała i się wyprostowała. Jej smukłe ciało przypominało patyk – było twarde, lecz kruche.

– Wróćę, gdy będę mogła.

Odwróciła się i ruszyła przez grań. Za plecami czuła ich niepokój. Chciała zostać z przyjaciółkami, udawać, że wciąż są tylko dziewczynkami, a życie, nawet jeśli nie jest łatwe, to przynajmniej sprawiedliwe. Te dni jednak utonęły w morzu wraz z innymi zachodami słońca. Wiedziała, że nadszedł czas, by stawiała czoła przyszłości. Flora miała słuszość, zawsze miała rację: trwał odpływ. Przyszła pora kopać przynętę.

Przedtem

Rozdział 1

Miesiąc wcześniej
13 maja 1930 roku

Na plaży ujadaly psy. Trzy staruszki wyszły na próg swoich domów i ze ściągniętymi brwiami zapatrzyły się w łuk zatoki. Trwał odpływ, cały dzień brzegi smagał gniewny wiatr, wzbijając fale, nad którymi ptaki krążyły z zachwytem.

Effie nie ruszyła się z miejsca. Siedziała na kamieniu do dojenia z policzkiem przy brzuchu Iony i spokojnie, obojętnie napełniała skopek. Wiedziała, że minie jeszcze jakieś dwadzieścia minut, nim łódź opłynie cypel, choć przy tym wietrze prawdopodobnie nastąpi to szybciej. Jej collie Świergotka, z brązowym pyskiem i białą plamką na oku, siedziała przy niej i strzygła uszami, spoglądając na wodę. Wyczekiwała intruzów z odległych mórz, lecz nie zamierzała odstąpić od Effie.

Dziewczyna przypatrywała się przemierzającym się mieszkańcom wioski z usytuowanego wyżej punktu obserwacyjnego. Zaulek do dojenia znajdował się mniej więcej w jednej trzeciej stoku i widok stąd zawsze cieszył jej oczy. Był wtorek, co oznaczało pranie. Widziała, jak młode kobiety stoją w potokach z podkasanymi spódnicami, piorą płótna i rozmawiają. Nie chciałyby, by ich pościel powiewała na wietrze przy gościach. Nie spodziewano się w tym tygodniu łodzi

z turystami, jeśli to jednak trawler, nie byłoby najgorzej, bo większość ich kapitanów to starzy znajomi.

W wiosce, gdzie prywatność stanowiła koncept czysto teoretyczny, poniżenie wynikające z wietrzenia pościeli przed obcymi traktowano poważnie. Ukształtowanie terenu sprawiało, że poczynania mieszkańców widać było niemal z każdego miejsca w wąwozie: był on w kształcie stożka o gładkich, lecz stromych zboczach, tonących w cieniu i wiodących ku strzelistym klifom opadającym z drugiej strony niemal pionowo do huczącego morza. Na południowym wschodzie jednak rozstępowały się one, dając dostęp do kamienistej plaży. Na całej wyspie nie było innego miejsca, gdzie można by przybić do brzegu, wokół bowiem szalały wzburzone fale. Szczęśliwym trafem sąsiednia wyspa Dun – będąca ledwie chudym skrawkiem skał – stykała się niemal z brzegami Hirty i tworzyła naturalny falochron, dzięki czemu Village Bay stanowiła bezpieczną przystań w skłębionych wodach północnego Atlantyku. Podczas sztormów mogło się tu skryć aż dwadzieścia statków.

Rybacy, wielorybnicy, marynarze – wszyscy bez wyjątku, chroniąc się tu, wznosili peany na temat widoku gościnnej i przytulnej wioski wtulonej pod barczysty nawis, z dymiącymi kominami i migotem lamp naftowych. Szare kamienne domki sąsiadowały ze starszymi tradycyjnymi chatkami, stopniowo opuszczanymi od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Zabudowania rozciągały się po wschodniej stronie zatoki i przylegały do solidnego kamiennego wału. Gdy patrzyło się z wysokiej grani, przypominały otwartą szczękę najeżoną zębami. Matka Effie nazywała je zębami wielkoluda.

Położenie wioski zapewniało jej idealną ochronę przed ostrymi wiatrami, które przetaczały się po stokach z prędkością porywającą głazy i zdzierającą metalowe dachy z kamiennych domów (przynajmniej do czasu, aż właściciel ziemi sir John MacLeod z MacLeod kazał je przytwierdzić metalowymi obejmami).

Ulica – a mieli tylko jedną – była szeroka, porośniętą trawą ścieżką biegnącą między chatkami a grubym, niskim murem wieńczącym działki. Tu było serce życia na wyspie. Tutaj wszyscy się gromadzili osłonięci od wiatru własnymi domami, w pogodne zaś dni wygrzewali się w słońcu. Staruszki siedziały przy drzwiach, robiły na drutach i przedły. Dzieci biegały wzdłuż muru, przy którym niekiedy drzemały krowy. Każdego ranka mężczyźni spotykali się przed numerem piątym i szóstym na obrady i rozdzielali pracę. Po obiedzie zaś wieśniacy spacerowali po Ulicy, by dowiedzieć się od sąsiadów, co wydarzyło się w minionym dniu.

Przed każdym domkiem po drugiej stronie Ulicy znajdowało się długie, wąskie poletko ciągnące się w kierunku plaży. To tutaj mieszkańcy na podwyższonych grządkach sadzili ziemniaki, wywieszali pranie i trzymali zimą swoją nieliczną trzodę. W miesiącach letnich krowy przeprowadzano za główny wał, a stada owiec wiedziono na pastwiska nad Glen Bay po drugiej stronie wyspy. Glen Bay od Village Bay dzieliła wysoka grań – Am Blaid, za którą teren opadał ostrym zboczem ku osłoniętej zatoczce. Nie było tam plaży z prawdziwego zdarzenia, bowiem od północy fale niestrudzenie biły w brzeg, a choć mieszkańcy trzymali tam na wszelki wypadek łódkę, to można nią było wypłynąć bądź przybić do brzegu tylko w te rzadkie dni, gdy dominujące wiatry zmieniły kierunek i morze ucichło.

Iona przestała przeżuwać i drgnęła rozdrażniona. Effie niewzruszenie sięgnęła po szczaw, którego nazbierała po drodze, i bez słowa podała jej kolejne liście. Krowa sapnęła z zadowoleniem i Effie wróciła do dojenia. W ten sposób na ogół spędzały poranki i obie przywykły do tego łagodnego rytmu.

Kilka minut później skopek był niemal pełny. Effie wyprostowała się i poklepała Ionę po boku.

– Dobra krówka – pochwaliła, wstała z kamienia i zeszła po stoku.

Jak przewidywała, zza cypla Dun wychynał właśnie dziób słupu.

Przyglądała się bacznie, jak statek wpływa cicho w objęcia zatoki, rzuca kotwicę i zwija żagle. Czyli jednak nie trawler. Kobiety będą zawiedzione. Ten statek o smukłym maszcie i niskim, podwiniętym kadłubie wyróżniał się wyrafinowaniem bardziej pasującym do szafirowych wód u wybrzeży Francji niż do obrzeży Hebrydów.

– Swój czy wróg?!

Pytanie odbiło się echem w niecce.

Załoga przypominała zaledwie czarne kropeczki, ale Effie widziała, że miejscowi szykują już bączka. Mężczyźni będą musieli nielicho wiosłować pod prąd uderzających o brzeg fal. Pasażerowie z pokładu słupu obrali sobie zły dzień na żeglugę. Na otwartej wodzie miotali się pewnie jak korek, a choć cypel Dun miłosiernie zapewniał schronienie, łatwo nie było. Południowo-wschodni wiatr spieniał osłonięte na ogół wody zatoki, aż kipiały niczym kocioł wiedźmy, i niepodobna było stwierdzić z pewnością, że uda im się zejść na ląd.

Jedno było pewne: jeżeli mężczyźni ściągną ich na brzeg, wszyscy przemokną do suchej nitki. Mieszkańcy doskonale o tym wiedzieli. Nikłe smużki szarawego dymu zaczynały już się unosić z kominów, ludzie wbiegali do niedużych chałek ułożonych łukiem przypominającym kształtem usta rozciągnięte w uśmiechu, wnosili suszące się pranie, zamiatali obejścia, wzuwali buty, przesuwali kołowrotki w widoczne miejsca, tak by goście mogli sobie je bez przeszkód obejrzeć.

Znali ten rytuał. Obsługa turystów stała się dyskretnym, dodatkowym źródłem dochodu. Wykarmić ich to nie mogło – na wyspie nie było ani jednego sklepu, więc na Hircie z pieniędzy niewielki był pożytek – przydawały się one jednak, gdy chciało się poprosić bliżej zaznajomionych kapitanów, by przy najbliższej okazji przywieźli jakiś rarytas, lub gdy faktor zgłaszał się po czynsze. Albo tak jak w przypadku Flory, by kupić szminkę w jaskrawym kolorze. Widziała kiedyś taką u odwiedzających wyspę pań w butach na wysokich obcasach, mimo że trzysta owiec, które Flora wypasała tego lata w Glen Bay, pomadki nie doceni.

Nikt z miejscowych nie rozumiał, dlaczego wielki świat się nimi interesował, ale koledzy z łądu wspominali poczmistrzowi Ianowi McKinnonowi, ojcu Mhairi, że pocztówka ze stemplem z St Kildy uchodziła za godną pożądaną, wręcz wartościową. Jak im mówiono, reszta świata szybko porzucała taki tryb życia, jaki wiedli na wyspie. Uprzemysłowienie przyspieszyło zmiany w bezprecedensowym stopniu, a mieszkańcy St Kildy przeistaczali się w żywe relikty i osobliwości z minionej epoki. Niektórzy być może nad nimi się litowali, ale wyspiarze z St Kildy za nic mieli współczucie. W lot pojęli zasady gry i czerpali z niej korzyści, z Effie na czele.

Podniosła skopek i zaczęła schodzić po zboczach, nie spuszczać wzroku z czarnych kropek przemieszczających się z jednego kołyszającego się na falach statku na drugi. Wiedziała, że gdy ich odzież wyschnie, a oni dojdą do siebie po przeprawie, naborą ochoty na przedstawienie. I ona zamierzała im je zaoferować.

– Gdzie to będzie? – zapytał ją ojciec szorstko, gdy skończyła ubijać masło. Stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz. Fajka zwisała mu z dolnej wargi.

– Pewnie na Sgeir nan Sgarbh – odparła, zamknęła wieko maselnicy i stanęła przy nim. – Tam będzie lepsza osłona od wiatru.

– Na górze, *aye*, ale uda im się zawrócić bączki na wodzie?

– Archie MacQueen ma parę w łapach – mruknęła.

– Ale nie w nogach.

– Nie, w nogach nie. – Przyglądała się trzem mężczyznom idącym Ulicą. Jednego rozpoznała po charakterystycznym chodzie: był to Frank Mathieson, zarządca wysłany przez ich gospodarza MacLeoda, faktyczny władca wyspy. Dwaj pozostali byli obcy. Mieli na sobie dobrze skrojone, ciemnobrązowe garnitury i wełniane kapelusze. Spod jednego z nich mignęły złotoblond włosy i opalony kark. Zaklinała nieznajomych w myślach, by się odwrócili, bo chciała spojrzeć na twarz

mężczyzny o eleganckiej aparycji, ale ścieżka skręcała, więc straciła przybyszy z oczu.

Grupka, która zeszła na brzeg, okazała się rozczarowująco niewielka. Było to grono prywatne, jak z typową dla siebie autorytatywnością orzekł Ian McKinnon. Oznaczało to skąpe napiwki. Skoro kobiety musiały schować pościel, powinna zachodzić poważna przyczyna, a dwóch zaledwie panów raczej wszystkim tego nie wynagrodzi. Kapitana ulokowano w domku jej wujka Hamisha, dwóch pozostałych miało nocować w największym na wyspie domu: u Mathiesona. Nie zazdrościła przybyszom, że będą musieli znosić jego gościnę.

– Odstawię to w chłodne miejsce – powiedziała, wzięła na ramię maselnicę i wyszła. Świergotka dreptała jej po piętach. Effie patrzyła, jak przybysze wciskają pensy w dłonie Pomyłonej Annie, która siedziała, czyściła wełnę i snuła opowieści o tradycji zawierania małżeństw przez skok przez miotłę i łowieniu maskonurów w sidła. W odróżnieniu od większości starszych mieszkańców wioski dobrze mówiła po angielsku. Nie oznaczało to jednak, że pozostali nie potrafią się komunikować: Effie uśmiechnęła się lekko, widząc, jak Mama Peg teatralnie się krząta i chowa przed aparatem fotograficznym, mimo że dawno już minęły czasy, gdy nowe technologie zdumiewały. Z ręki do ręki przeszły kolejne monety.

Poszła na tył domku i wspięła się kawałek po stoku na płaski An Lag, gdzie w razie brzydkiej pogody gromadzili owce w kamiennych koszarach. W oddali majestatycznie wznosiła się Connachair, najwyższa góra wyspy, przypominająca schody do nieba. Dla niektórych właśnie tym się okazywała. Los wielu przypieczętowały przepaście, jeżeli dali się zwieść zaokrąglonemu wierzchołkowi wzniesienia od strony wioski i zaskoczyć urwistym klifom wysokim na tysiąc czterysta stóp, które nagle opadały wprost do morza, jak gdyby ktoś odłupał kawał brzegu.

Bujną zieloną trawę, sprężynującą pod jej stopami, zdobiły jaskry i zawciąg. Przeszła obok licznych kamiennych spichrzy zwanych cleitami, takich samych jak ten, w którym wraz

z ojcem przechowywali masło i śmietanę. Pochyliła się, wchodząc do środka, i odstawiła maselnicę. Jej rodzina używała tego spichlerza od ponad trzystu lat. Na wyspie znajdowało się bodaj tysiąc czterysta garbatych budowli z układanego ciasno kamienia, ale Effie potrafiła rozpoznać każdą należącą do swojej rodziny. Ta pod An Lag na nabiał; tamta na Ruival na pierze; na Oiseval na fulmarze sadło; na Connachair na solone mięso; ta na torf... Wiele stało pustych, lecz i one przydawały się jako zapasowe spiżarnie, schronienie przed deszczem i wichrem, kryjówki dla kochanków w zalotach...

Zeszła z powrotem po stoku, zwinnie przeskakując wtulone w trawę skały. Ponad dachami domów dostrzegła mieszkańców gromadzących się na plaży i szykujących pokaz dla gości.

– Idziesz do nich, Effie? – Usłyszała nagle.

Obejrzała się i zobaczyła, jak poprawiając kasztanowate włosy, od poczmistrza wychodzi Lorna MacDonald, która czasami pracowała razem z nim.

Effie podbiegła do niej, choć Świergotka wyprzedziła ją o dwie długości ciała.

– Aye – odparła z szerokim uśmiechem. – Nie wiadomo, może będzie z tego dla mnie parę grosików.

– A nawet więcej – skomentowała Lorna, puszczając do Effie oczko.

– O czym mówisz?

– Ten młody to przystojny chłop. Gdy się taki uśmiechnie, wystarczy to za zapłatę. – Lorna się roześmiała, a jej brązowe oczy zaskrzyły się wesoło.

Effie wzruszyła ramionami z zakłopotaniem.

– Widziałam go tylko z tyłu.

– Podejrzewam, że to też całkiem ładny widok.

Effie zaśmiała się cicho. Nie przestawało jej zadziwiać, że Lorna to ich tutejsza stara panna – miała już trzydzieści trzy lata, a nadal była niezamężna – bo straszna z niej była kokietka. Niestety przyjezdni nie zagrzewali tu miejsca, a najbliższym jej wiekiem kawalerem na archipelagu był Donnie Ferguson, jego

zaś nie interesowało małżeństwo z kobietą siedem lat od niego starszą i znacznie mądrzejszą, która lata, gdy zdolna była rodzić dzieci, miała już niemal za sobą.

– Co to w ogóle za ludzie?

– Bogacze. – Lorna wzruszyła ramionami. – Jeżeli sądzić po tym statku.

Lorna знаła się na takich sprawach. Nie urodziła się na St Kil-dzie, była pielęgniarką ze Stornoway, postanowiła jednak osiąść na wyspie. Widziała inny od tego świat i to, co można kupić za pieniądze.

– Dobrze – westchnęła Effie. Spozobregła, że mężczyźni zaczynają się wspinać po wzgórzu z linami. Przed nimi biegły psy. – W takim razie ja postaram się zdobyć od nich parę pensów, a ty możesz sobie zatrzymać uśmiechy tego młodego dżentelmena. Co ty na to?

– Umowa stoi. – Lorna mrugnęła porozumiewawczo jeszcze raz, a Effie ruszyła pędem do chatki, by wziąć sznur. Lina była grubo pleciona z końskiego włosia, w dotyku szorstka i giętka. Ojciec siedział teraz na krześle przy palenisku – nie dał rady długo ustać – i ubijał skręcany tytoń.

– No to ja idę.

Popatrzył na nią. Oczy miał kaprawe, białka poźółkły mu z wiekiem, lecz mimo osłabionego ciała wciąż płonął w nich ogień. Skinął głową. Nieskory był do sentymentalnych pożegnań.

– Trzymaj się mocno, dziewczę.

– *Aye*. – Potaknęła. Wiedziała, że w ten sposób pożegnał się także z jej bratem.

Przez chwilę sądziła, że powie coś jeszcze – jak gdyby kłębiła się w nim energia, by wygłosić kolejne słowa. Chwila ta jednak minęła, więc Effie wyszła, kiwając tylko głową.

Część mężczyzn przemierzała już zbocz z linami przewieszonymi przez barki, kierując się ku klifom od wschodu. Nieduża kamienna konstrukcja w wodzie tuż przy brzegu wystarczyła, by przełamać boczne fale, więc podczas pokazu można było ściągnąć bączka na linach we względnym spokoju.

Podbiegła do nich i przysłuchiwała się, jak gawędzą o gościach i nowinach „z zagranicy”, czyli ze Skye.

– ...przyjaciele dziedzica – mówił właśnie najstarszy brat Flory David MacQueen. – Musimy się postarać.

– Szkoda, że wieje, bo moglibyśmy dalej zakręcić – zauważył jej kuzyn Euan.

– Jeśli porzycją się jak psy, to nie sypną groszem – odparł Ian McKinnon.

– Ale tu klify są niższe.

– To im w zupełności wystarczy. I tak będzie się im zdało, że to wysoko.

Zaczęła iść wraz z Angusem i Finlayem, starszymi braćmi Mhairi.

– A ty co tu robisz? – zapytał Angus, jak zwykle szyderczo.

– To co ty. – Wzruszyła ramionami. Zasapała się nieco, bo ich dłuższe nogi stawiały większe kroki.

– Nie będziemy polować, to tylko pokaz.

– Aye, więc będą napiwki.

– To wydziergaj im skarpetki!

– Dobrze wiesz, że dostałabym ułamek tego, co mogę zdobyć tutaj. Poza tym zgodnie z umową ilekroć chodzicie na skały, mnie też wolno tam być.

– Ale z ciebie wrzód na nodze, Effie Gillies – jęknął Finlay.

– I wzajemnie – odcięła się.

Przewrócili oczami, ale jej to nie obeszło. Przyjaciele jej brata i bracia jej przyjaciółki droczyli się z nią całe życie, ale ona potrafiła odplącić im pięknym za nadobne. Dorastali, bawiąc się w chowanym w cleitach, razem uczyli się czytać w szkolnej sali przy kościele i kopali się nawzajem podczas kazań.

Nie mogła jednak ignorować toczących się zmian. Ani zmian, które już nastąpiły. Wyczuwało się napięcie, cichy poszum, którego wcześniej nie było. Śmierć jej brata wywarła na wszystkich głęboki wpływ. Nie była już w ich oczach młodszą siostrzyczką Johna, tylko dziewczyną. Niekiedy przyłapywała ich na tym, że patrzą na nią w sposób, który wytrącał ją

z równowagi. Finlay wodził za nią wzrokiem, a kiedyś, gdy wycinała torf, Angus próbował ją pocałować. Nie wybaczył jej jeszcze, że go wyśmiała.

Przyjezdni, którzy chcieli podziwiać widoki – a zawsze chcieli – pokonaliby tę trasę w czterdzieści pięć minut, może godzinę, jednak ona z mężczyznami przebyła ją w niecałe trzydzieści minut. Gdy bączek wyłonił się zza klifów, oni rozpierchli się już po wierchołku i pracowali przy zwojach lin. Ptaki krążyły wokół nich ze skrzekiem, zadzierając pióra na prądach wstępujących. Z tej wysokości sama łódka była wielkości ptaka. Effie zerknęła w dół parę razy, wytyczając sobie trasę na skale, a następnie poszukała wzrokiem kamienia, którym będzie mogła wbić kołek.

Oplotła linę wokół kołka i odchyliła się, by sprawdzić, czy jest solidnie osadzona i dobrze się napina. Sznur zawibrował z przyjemną świeżością, a Effie opasała się nim w talii w charakterystycznym dla wyspy stylu.

Jeszcze raz spojrzała w dół urwiska. Kuzyn Euan miał słuszość, rzeczywiście nie było tu zbyt wysoko. Jakies siedemset stóp? Połowa wysokości Connachair. Poluzują raz liny i pokonają może jedną trzecią trasy w dół. No ale dzisiaj tylko się popisują. Nie polują na ptactwo, nie zbierają jaj, nie ratują zbłąkanych owiec. Zwykły pokaz.

– Blado coś wyglądasz, Eff – wycedził Angus. – Na pewno dasz radę?

Popatrzyła na niego z pogardą. Angus szczyił się, że ze wszystkich mieszkańców wyspy najszybciej się wspina. Zwycięzył w zeszlorocznych Dawnych Próbach – wyścigu we wspinaczce rozgrywanym przez młodych mężczyzn, którzy mieli w ten sposób wykazać, że są godni zapewnić byt swoim rodzinom... i przyszłym żonom. Jeżeli Angus chciał jej coś udowodnić, zupełnie się mu to nie udało. Effie nie miała wątpliwości, że pobiłaby go (i pozostałych zawodników), gdyby tylko wolno jej było również stanąć do konkursu. Ale że była dziewczyną...

– Szczerze mówiąc, zastanawiam się, jak szybko uda mi się tam zejść.

Uśmiezek Angusa się rozciągnął.

– Wydaje ci się, że dasz radę zrobić to prędko?

– Prędzej od ciebie. – Zebrała jasne włosy z twarzy i związała je w ciasny węzeł. Tylko tego jej było trzeba, żeby w drodze podmuch wiatru rozwiął je i zarzucił jej na oczy.

– Ha! Mocna jesteś tylko w gębie, Effie Gillies.

Teraz to ona uśmiechnęła się półgębkiem.

– No tak, cóż, nawet ja nie będę udawać, że coś się kryje w moich portkach. – Nawet jeśli Angus McKinnon był najszybszy na wyspie, do najbystrzejszych się nie zaliczał. Ostentacyjnie zadarła spodnie w tali: należały one do Johna i tylko taki strój nadawał się do wspinaczki, lecz Effie nie nosiła ich wyłącznie z przyczyn praktycznych.

Finlay zarumienił się mocno.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział. – Przecież wiesz, że tylko cię podpuszcza. Wszyscy wiedzą, bracie, że to ty jesteś najszybszy. Popiszmy się po prostu przed bogaczami. To jest pokaz, a nie wyścig.

Effie wzruszyła ramionami, jak gdyby było jej to najzupełniej obojętne, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że wyzwanie zostało rzucone. Effie – dziewucha! – walczyła z Angusem o laur. Między nimi toczyć się miała rywalizacja. Czemu nie? Okazja równie dobra jak każda inna. Przyglądała się, jak Angus patrzy w dół urwiska, a wyspiarze ostatni raz sprawdzają liny i zajmują miejsca na krawędzi klifu.

Effie patrzyła na wprost. Dłonie zaciskała już na linie. Czeakała. Miała nadzieję...

– Już! – zakrzyknął Archie MacQueen.

Ojciec Flory był doświadczonym wspinaczem, teraz jednak pozwalał młodszemu się wykazać. Utykał na jedną nogę, ręce nie trzymały już tak mocno jak kiedyś. Poza tym ktoś musiał zostać na górze na wypadek, gdyby trzeba było kogoś wciągać.

Był to znak, by ruszać, zacząć przedstawienie, popisać się brawurą i umiejętnościami, które na cały świat rozślały Kildańczyków, ich skoki i wyjątkowy taniec na ścianach klifów. Effie bez wahania odchyliła się i zstąpiła z gruntu. Poczowała w żołądku, jak jej ciało zawisło w otwartej przestrzeni, a lina się naprężyła. Odepchnęła się od ściany, tak by lina zakołysała się niczym wahadło. Jej gołe stopy były już przygotowane do kontaktu ze ścianą, w pogotowiu, by hasać po jej powierzchni i hardo sprzeciwiać się grawitacji. Pewien przyjezdny powiedział im kiedyś, że przypominało to skok pająka spod sufitu. Effie uwielbiała dźwięk, jaki wydawały napięte liny – niczym świszczące wiwaty – gdy wraz z mężczyznami przemykali i odbijali się z boku na bok.

– W takim razie kto pierwszy przy łódce?

Spojrzała na Angusa, który wisiał na linie i patrzył prosto na nią. Uśmiechnęła się, przejrawszy jego taktykę – mieli się ścigać do łódki, a nie do gruntu, a przecież żadne z nich nie potrafiło pływać...

– *Aye*. Ale nie bój się nic, poczekam na ciebie.

Angus przymrużył powieki, słysząc przytyk, lecz ona już ruszyła. Dała spokój akrobatyce, namierzyła stopą punkt podparcia, drugą nogą szukała kolejnego. Kildańczycy zawsze wspinali się na bosaka, nigdy w butach. Nieprzejezdne klify oferowały najwyżej pół cala oparcia, a nic nie mogło się równać zetknięciu skóry ze skałą. Na granitowych klifach nie było miejsca na podeszwy butów, znak cywilizacji.

Zostawiła gierki starszym mężczyznom, którzy napinając potężne ramiona i nogi, popisywali się teatralnie na tle płaszczyzny skał, odbijali się stopami, sięgali po wypust palcami i podciągali się jak jaszczurki, i tak w kółko. Inni przemykali bokiem, drobiąc po głazach jak kraby.

Effie skupiła się tylko na tym, by zjechać na dół. Pomiedzy nogami, dużo niżej, widziała łódkę. Opuszczała się po linie, wyteżając ręce i przekładając dłonie. Nie miała bicepsów wielkich jak głaz, ale jak powtarzała ojcu – wcale nie były jej

potrzebne. Była żylasta i lekka, wręcz chuda, nie oznaczało to jednak, że słaba. Im mniej ciała, tym mniej do dźwigania. Nie zmęczy się szybko. Była bardziej gibka i rozciągnięta...

Kątem oka dostrzegając, że nieznacznie wyprzedziła już Angusa. Jemu sprzyjały siła, wysokość i grawitacja.

Skończyła się jej lina. Wsparła się na wąskiej półce i odwinęła sznur z piersi.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał do niej ostro Ian McKinnon, gdy zaczęła pokonywać ścianę bez zabezpieczenia.

– Wygrywam! Nie martw się. To był pomysł Angusa.

Bez liny inaczej się wspinało. Effie wiedziała, że postępuje lekkomyślnie, ale zauważyła występującą wówczas osobliwą intensywność: mózg i wzrok wyostrzały się do granic możliwości, adrenalina odświeżała siłę mięśni. Przypominały jej się oczy i uśmiech matki, wracał do niej tembr spontanicznego śmiechu brata. Gdy rozczesywała gmatwaninę życia, udawało jej się niemal dotrzeć do zmarłych.

Schodziła zwinnie i ostro, aż zrównała się z horyzontem, a potem znalazła pod jego poziomem. Huk fal zaczął wdzierać się w jej skupienie. Nagle sięgały do niej białe bryzgi zimnego morza – pluskały na jej gołe, ogorzałe łydki, ale nie dbała o to, czy zmoknie albo zmarznie. Musiała zwyciężyć. Musiała się przekonać – i co najważniejsze, Angus musiał się przekonać – że była najszybsza i najlepsza.

Złowrogo blisko ujrzała mroczne morze. Znajdowała się niecałe trzydzieści stóp nad bałwanami. Klify wcinały się bezpośrednio w głębię, a gdy schodziła coraz niżej, uświadomiła sobie, że będzie mogła stanąć i się obrócić jedynie jakieś sześć stóp nad powierzchnią wody, na wąskiej półce, nie większej niż jej dłoń.

Przez moment ścisnął ją instynktowny strach. Toż to szaleństwo! Gdyby jej ojciec wiedział, jak beztrudnie traktuje swoje życie... A może właśnie o to chodziło. Może chciała, by wieść do niego dotarła. Śmierć bliskich sprawiła, że jego serce pękło już wielokrotnie – tylko ona mu została. Nie potrafił

– albo nie chciał – kochać jej na wypadek, gdyby ją także miał utracić. Czy o to chodziło? Gdyby się poślizgnęła, runęła prosto w dół, w fale... Czy on by płakał? Czy pogrążyłby się w żałobie jak po pozostałych? A gdyby wygrała, czy byłby dumny? Czy zobaczyłby, że ona mu wystarczy?

Nie było czasu do namysłu. Kierował nią czysty instynkt. Stopami dotknęła kamienia, ręce rozłożyła szeroko i przyłgnęła do ściany, chwyciła jej powierzchnię opuszkami, przywarła policzkiem do zimnego, mokrego granitu. Oddychała szybko, dając mięśniom chwilę wytchnienia. Palily ją, lecz wiedziała, że nie dotarła jeszcze do celu.

Zerknęła w górę. Angus był zaledwie parę stóp nad nią. Niedostatek zwinności nadrabiał siłą. Jeszcze kilka sekund... Obejrzała się ostrożnie przez ramię i zobaczyła nieopodal przywiązane do skały bączka. Wujek Hamish, który właśnie szyprował, przyglądał się jej bacznie ze ściągniętymi brwiami, podobnie jak wcześniej Świergotka wypatrywała łódki. Zauważył jej ruch i zrozumiał chyba, że Effie chce się dostać na pokład – że tak czy owak rzuci się w stronę bączka. Nawet jeśli się zaniepokoił, to się nie zawahał. Nie przy gościach. Szybko szarpnął za linę i przyciągnął niedużą łódkę do ściany urwiska, najbliżej, jak śmiał – wiedział, że jeżeli posunie się za daleko, wzburzone fale mogą cisnąć ich o skały.

Gdy na łódce pojęto jej zamiary, ktoś na pokładzie wzdrygnął się nerwowo. Effie wiedziała, że będzie musiała poczekać na następną falę i skoczyć. Przytuliła się do ściany, wyteżyła wzrok i przygotowywała się, aż przełamie się kolejna fala... A Angus właśnie znalazł się tuż przy niej.

Spieniona woda chlusnęła na nich gwałtownie, aż oboje stracili oddech, wstrząśnięci zimnem i przemoczeni. Nie dbała o to. Gdy poczuła, że fala odpływa, okręciła się i skoczyła na ślepo. Po śmierć lub chwałę!

Przez oszałamiającą, długą chwilę miała wrażenie, jakby potrafiła wręcz fruwać niczym ptaki, które wzbijały się, kręciły i cięły przestworza wyspy wokół niej. Potem zaczęła

działać grawitacja i Effie wylądowała do połowy w łódce, a do połowy w wodzie. Uderzyła z impetem w klatkę piersiową, lecz rękami mocno chwyciła dziób. Łódź zakołysała się szaleńczo, przez burty wlała się woda. Miała płaskie dno, dostosowane do trudnych warunków, więc niemal natychmiast się wyrównała, a Effie zaśmiała się triumfalnie, gdy wujek Hamish prędko złapał ją za pas i wciągnął na pokład szybkim, płynnym ruchem niczym złowionego łososia.

– Nie wiedziałem, że postanowiliście się ścigać na dół – rzekł do niej wujek Hamish z surową miną pełną dezaprobaty. Tylko tyle mógł wyjawic przy turystach, wiedziała już jednak, że opowie ojcu o całym zajściu.

Czekały ją tarapaty, zapewne lanie, ale warto było. Oczywiście jaśniały. Pobiła Angusa McKinnona! Najszybszego wspinacza na wyspie. Mało tego, nie będzie już mógł rościć sobie praw, by zapewnić jej utrzymanie, skoro go pokonała.

– Pomysł Angusa – wydyszała. Podniosła się na kolana i obejrzała na niego: wciąż tkwił na półce. Gdy ona skoczyła ku zwycięstwu, on zamarł i stał jak wmurowany, coraz bardziej przemoczony przez załamujące się fale. On także musiał albo skoczyć, albo wdrapać się wyżej, ale nie mógł zostać na miejscu.

Sapnął ze złością i zadarł kciuk do góry, dając do zrozumienia, że wybrał to drugie. Przegrał. Po co miałby teraz z nimi płynąć? Effie będzie się tylko napawać swoim zwycięstwem.

Wujek Hamish skinął głową – doskonale pojmował, co właśnie między nimi zaszło. Było to męskie spojrzenie – takie, które ją eliminowało – ale co ją to obchodziło? Effie uśmiechnęła się z satysfakcją i usiadła na ławce, zdjęła wstążkę i wyżeła długie włosy. Na dnie zebrała się kałuża morskiej wody.

– Wielkie nieba! – rozległ się głos. – To dziewczyna?

Odwrociła się, by nareszcie się przyjrzeć gościom. Tak bardzo poniosła ją ambicja, by pobić Angusa, że zapomniała, komu właściwie chcą zaimponować. Trzech mężczyzn siedzących przy rufie wpatrywało się w nią wytrzeszczonymi ze

zdumienia oczami. Byli to Frank Mathieson i dwóch panów, których widziałam przelotnie wcześniej.

– Cóż, panie, w spódnicy nie da się wspinać. – Uśmiechnęła się szeroko, wyciskając wodę z tweedowych spodni.

– Zmyliło mnie nie tylko odzienie. Ta prędkość! W życiu nie widziałem takiego popisu. Zbiegłaś po klifie jak wiewiórka po drzewie! – Mówił starszy z mężczyzn. Był korpulentny i miał czarne wąsy lekko przyprószone siwizną. Nosił okulary, więc trudno było dojrzeć jego oczy zza odbicia w szklach, ale zdawał się przyjaźnie usposobiony i chyba był pod wrażeniem. – Chce pan powiedzieć, że kobiety też się tu wspinają? – zwrócił się do szypra.

– Tylko ta – odparł wujek Hamish z rezygnacją, odwiązał cumę od kamienia i zaczął wiosłować. – To moja bratanica, Euphemia Gillies.

– Effie jest córką Roberta Gilliesa. Mieszkają pod dziewiątką – dodał Mathieson, jak gdyby miało to coś wyjaśnić. – Jak się miewasz, Effie?

– *Aye*, dobrze, panie, dziękuję.

– Widzę, że zyskujesz śmiałość.

– Jeśli przez śmiałość rozumie pan prędkość.

Zaśmiał się.

– Pozwól, że ci przedstawię earla Dumfries i jego syna, lorda Sholta – rzekł. – Z pewnością wiesz, że to serdeczni przyjaciele lorda MacLeoda.

– Ta – rzuciła beznamiętnie, chociaż z niczego takiego nie zdawała sobie sprawy. To, z kim właściciel ziemi się przyjaźnił, nie obchodziło jej, choć potwierdzało to spostrzeżenie Lorny, że przyjezdni byli zamożni.

– Składali wizytę jego lordowskiej mości w Dunvegan, gdy zasłyszeli, że zamierzam wybrać się tutaj...

– Można rzec, że miałem ambicję, by się tu dostać – wtrącił earl dziarsko. – Widzi pani, jestem zapalonym obserwatorem ptaków, a sir John wielce uprzejmie wyraził zgodę na moją propozycję, że sami przywieziemy tu pana Mathiesona. Dwie pieczenie na jednym ogniu i tak dalej.

– Aye. – Gdy mówiła, czuła na sobie uważne spojrzenie młodszego z mężczyzn, ale póki pozostali się odzywali, nie nadarzyła się jej sposobność, by popatrzeć wprost na niego. – Czy więc długo tu panowie zabawią?

Mathieson nabrał tchu.

– Cóż, wiele zależy od pogo...

– Co najmniej tydzień – wtrącił lord Sholto niespodzianie, a gdy w końcu spojrzała mu w oczy, oblicze rozjaśnił mu olśniewający uśmiech.

– Tydzień? – Effie odwzajemniła uśmiech błękitnookiego, złotowłosego mężczyzny. Wreszcie zobaczyła jego twarz. I spodobała się jej.

– Panno Gillies.

Odwróciła się: po plaży spieszył za nią Mathieson. Wujek Hamish cumował łódkę, a gdy tylko szlachetni goście zeszedli na brzeg, na powrót objął ich w posiadanie pastor.

– Panie Mathieson. – Starła się ukryć zniecierpliwienie, ale miała na sobie przemoczone po kąpieli tweedowe spodnie i pragnęła wrócić do siebie i się przebrać. Okrążyli cypel pomalutku, bo trafili na przeciwne wiatry, i teraz dygotała.

Przystanął przed nią nieco niżej, niż znajdowała się Effie, więc nad nim górowała. Nie był człowiekiem wysokim – sylwetkę miał przysadzistą, lecz nie odznaczał się też niskim wzrostem. Wtapienie się w tło działało na jego korzyść: niejednemu raz wyspiarz palnął coś, czego nie powinien był mówić, bo nie zdawał sobie sprawy, że zarządca jest w zasięgu głosu. Pomiedzy Mathiesonem a Kildańczykami panowały napięte stosunki: co wiosną przywoził towary, a co jesień ściągał należne opłaty, był więc marchewką i kijem miejscowej społeczności w jednej osobie. Gdy mu to pasowało, potrafił się uśmiechać i ujmująco zachowywać, nikt jednak nie tracił z pamięci, że dźrzyży nad nimi władzę nieomal absolutną, niewielu więc – poza Pomyloną Annie – odważyłoby się z nim zadrzeć. Nosił się bardziej elegancko niż mieszkańcy wioski i naśladował

manieri chlebobdawcy, ale czerwone, pokryte bliznami policzki oraz łapy zapaśnika zdradzały, że nawykł do walki.

– Nie powiem, niezły pokaz – rzekł.

Effie nie była pewna, czy miał to być komplement.

– O to chodziło – odparła mgliście. – Zawsze im się to podoba. – Nagły podmuch wiatru zwał do przodu jej długie, mokre włosy i musiała je przytrzymać oburącz. Niebo zasnuwało się złowróżbną ciemnością.

– W rzeczy samej. – Zawiesił głos zgodnie ze swoim zwyczajem, który w ciągu lat rozgryzła: chwila milczenia poprzedzała słowa o znaczeniu odwrotnym do wygłoszonych chwilę wcześniej. – Choć nie jestem pewien, czy takie brawurowe popisy trzeba jeszcze urozmaicać.

Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi.

– Na przykład tym, że wspinała się dziewczyna?

Wzruszył ramionami.

– Rozumiem, że przez twoje obowiązki wobec ojca musisz regularnie podejmować męskie zadania, ale jeśli chodzi o to, by zrobić dobre wrażenie na gościach...

– Przecież im się podobało.

– Cóż, oczywiście, są bardzo uprzejmi, ale w wielkim świecie pewne kwestie wyglądają inaczej. Wiem, że nie z własnej winy brakuje ci wiedzy... Bo niby po co miałabyś się dowiadywać? Ale wysoko się tam ceni stosowność i dobry smak. Kobiety gramolące się po skałach jak małpy... – Skrzywił się. – Nie. Musisz rozważyć, jakie wrażenie robisz na tych gościach, i wziąć pod uwagę, co będą opowiadać o tobie i twoich sąsiadach. Z pewnością nie chciałabyś narobić wstydu sir Johnowi, nieprawdaż?

Nie spotkała nigdy sir Johna.

– Naturalnie, że nie.

– No właśnie. Zgadza się więc, że koniec z przejawami próżności na linach. Musimy dążyć do tego, by goście nie poczuli się speszeni tym, co tu zobaczą. Dołożymy starań, tak?

Odwzajemniła jego spojrzenie, drżąc z zimna i gniewu.

– *Aye*.

Spojrzał ponad jej ramieniem na Ulicę.

– Swoją drogą, jak się miewa twój ojciec? Nadal kuleje?

Przymrużyła powieki.

– I zawsze tak będzie.

– Tym większy to łut szczęścia, że ma ciebie. – Pokiwał głową, nie spostrzegłszy, jak ostrym tonem odpowiedziała. – Ale przekaz mu, proszę, że będę musiał potem do niego zajrzeć i omówić zaległości w czynszu.

– Zaległości? – rzuciła z niepokojem.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, w zeszłym roku zabrakło wam trzynastu łokci szkockich tweedu. Wujek nieco wyrównał, ale dostarczyliście też dziewięć galonów oleju i siedem worków czarnego pierza za mało.

– W tym roku wszystko się będzie zgadzać – zapewniła prędko. – Zabrakło nam, bo skreśliłam kostkę i przez dziesięć dni nie mogłam chodzić. Pech, że trafiło się to akurat wtedy, gdy polowaliśmy na ptactwo.

Mathieson nie wyglądał na przekonanego.

– Będę musiał ponownie ustalić z nim przydziały. Pamiętaj, że wykazałem się ogromną łaskawością i po wypadku twojego brata nie zmniejszyłem ilości płatków owsianych, a w rezultacie od prawie czterech lat korzystacie z tej obfitości...

Effie popatrzyła na niego w dzikim popłochu. Mówił prawdę, lecz to wciąż było za mało. Minione zimy okazały się surowe, a plony mieli mizerne – zostało się sześć ziemniaków i ten owies, który mróz zwarzył tylko częściowo.

– Wykazywałem się tak hojnością, jak i cierpliwością, ale niesprawiedliwie jest oczekiwać, by inni nadrabiali wasze braki. Wypadki chodzą po ludziach, panno Gillies. Nie możesz liczyć, że każdego dnia roku będziesz w pełni sił.

– Ale tego właśnie oczekuję. I tak będzie – obiecała gorączkowo.

Mathieson jeszcze o tym nie wiedział, ale w tym roku razem z ojcem stracili już cztery owce, więc już teraz mieli za

mało wełny. W zamian ojciec utargował z Donaldem McKinnonem sto dodatkowych fulmarów. Rzadko kiedy doceniano zręczność Effie we wspinaczce, lecz teraz obaj mężczyźni sądzili, że stać ją na to, by oprócz zwykłej zdobyczy odłowić dodatkowe sztuki.

– Panno Gillies, nie muszę ci przecież przypominać, że choć wykonujesz męską pracę, jesteś dziewczyną. I tak szanse masz marne.

– Ale mam już osiemnaście lat, a w ciągu roku urosłam. Potrafię wszystko to samo, co oni, i to panu udowodnię. Zobaczy pan.

Przyjrzał się jej bacznie.

– Dostajecie więcej, niż się wam należy, a dostarczacie mniej, niż jesteście dłużni. Widzisz, w czym tkwi szkopuł? Muszę być sprawiedliwy, panno Gillies. Dlaczego miałbym robić dla was wyjątki, i to stale? Gdyby inni się dowiedzieli...

– Ale się nie dowiedzą. Dopilnuję, żebyśmy we wrześniu byli na czysto.

– Czyli chcesz, bym dochował tajemnicy?

– Tajemnicy?

Wielebny i dwóch przyjezdnych dżentelmenów podążało ścieżką w kierunku wioski. Pastor perorował o naprawach na plebanii. Lord Sholto przelotnie spojrzął na Effie i Mathiesona, gdy ci prowadzili rozmowę. Effie złapała się na tym, że jak za pociągnięciem sznurka w ręce młodego lorda odpowiada na jego uśmiech.

– Przed sąsiadami? I twoim ojcem?

Spojrzała na Mathiesona z konsternacją. Przyglądał się jej uważnie.

– Nie, proszę mu nie mówić. Nie chcę, żeby się martwił. Wypracuję w tym roku należny przydział, jestem pewna.

Cmoknął.

– Sam nie wiem, czemu pozwałam ci sobą manipulować, panno Gillies...

Ściągnęła brwi. Czy ona rzeczywiście nim manipulowała?

– Za dziękuję nic się nie kupuje, prawda? – westchnął. – Niemniej współczuję wam i choć mam swoją robotę, wierzę, że przyjaciół poznaje się w biedzie.

Effie przygryzła wargę – nie miała wyjścia – by nie wybuchnąć śmiechem. Co proszę? Na całej wyspie nie znalazłby nikogo, kto uważałby zarządcę za przyjaciela. Skupował od nich pióra za pięć szylingów za kamień, równy czternastu funtom, a sprzedawał je po piętnaście. Za towary, które zwoził – płatki owsiane, mąkę, cukier, herbatę i tytoń – przepłacali po trzykroć w porównaniu z kwotą, jaką on sam zapłacił. Nie dziwota, że mieszkańcy próbowali bez jego pośrednictwa wydać pieniądze zarobione od turystów.

– A skoro o tym mowa, znów coś ci przywiozłem.

– Do nauki? – Skończyła kształcenie cztery lata temu, ale on nigdy o tym nie pamiętał.

– Zostawiłem tam, gdzie zwykle. Tylko... proszę, bądź dyskretna. Nie mogę sobie pozwolić na okazywanie takich względów wszystkim.

Względy? Tajemnice?

– Ale...

– Miłego dnia, panno Gillies – rzucił dziarsko, wracając do zwykłej układności, gdy zauważył przed sobą na ścieżce trzech mężczyzn. – Muszę już iść. Po dzisiejszych... rozrywkach goście na pewno mają ochotę na poczęstunek. Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy. Musimy mieć nadzieję, że pierwsze wrażenie minie.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

WYSPA OWIANA TAJEMNICĄ MIŁOŚĆ W BREW KONWENANSOM

Lato 1930 roku. Effie Gillies od zawsze mieszka na szkockiej wyspie St Kilda, spędzając czas na wspinaczce po stromych klifach, pracy i zgłębianiu wiedzy o ptakach. To tu, w tym dzikim, urokliwym zakątku, po raz pierwszy spotyka przystojnego lorda Sholta, syna earla Dumfries. Po kilku miesiącach ścieżki tych dwojga ponownie się splatają. Effie, zmuszona do opuszczenia wyspy wraz z innymi mieszkańcami, trafia do posiadłości rodzinnej Sholta. Dwoje młodych łączy gorące uczucie, pochodzą jednak z zupełnie różnych światów. Kiedy na wyspie zostaje znalezione ciało, wybucha skandal. Marzenia Effie o przyszłym szczęśliwym życiu zdają się lec w gruzach...

*Karty nowej powieści Karen Swan skrywają
szokujące sekrety, kontrowersyjny romans
i zawiłą intrygę – tę książkę trzeba przeczytać.*

KIRKUS REVIEWS



bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena: 44,90 zł
(w tym VAT)